



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

CO ŻYCIE DAĆ MOŻE.

I

Siła myśli.

Człowiek, który umie myśleć, umie zarazem głębiej patrzeć w życie, trzeba przecie na to zrozumieć je w zadaniach jego podnioslejszych i wiedza szersza ułatwia nam to przez zbadanie głębsze celów naszego istnienia.

Potrzeba wykształcenia umysłu jest już tak uznana w czasach naszych, że dowodzić jej byłoby rzeczą zbyteczną, a po wszystkie te wieki, w których człowiek wyszedłszy już ze stanu niewiedomości pierwotnej umiał spojrzeć badawczo na świat i życie, pragnienie wiedzy łączyło się w nim z wartością tej wiedzy dla dostojności jego, dla szczęścia. Platon nazywał wykształcenie umysłu skarbem najdroższym, jaki człowiek posiadać może — skarbem, którego nikt go nie pozbawi i Shakespeare uważał też brak wiedzy za najcięższą niedolę, najcięższe ubóstwo człowieka, bo jestto względnie do życia noc ciemna wśród której łatwo nam jest zabłądzić nawet przy najpilniejszym poszukiwaniu drogi prostej. Były przecie epoki, w których oświecenie umysłu, uważano za rzecz niebezpieczną dla ludzi na podziemnym stanowisku społecznym i Luboek w książce swojej „Co życie dać może,“ zbija też energicznie to zdanie, dowodząc szlachetnie i pięknie, że wykształcenie umysłów jest najdoskonalszą szkołą moralności. Podziela on przekonanie to ze wszystkimi wyższymi myślicielami; Wiktor Hugo twierdzi, że każda otwierająca się szkoła przymyka drzwi więzienia, a angielski moralista, Mateusz Arnold, wykazuje że od 1870 r., w którym wydane zostało

w Anglii prawo nauczania ludowego, liczba przestępstw zmniejszyła się w stosunku uderzającym. W 1870 r., uczęszczało w państwie Angielskiem do szkół elementarnych 1,400,000 dzieci, obecnie jest ich w szkołach takich 5,000,000, a gdy we wspomnianym 1870 r., zaludniało więzienia 20,800 przestępców, obecnie jest ich tam 13,000, a dodać należy że przyrost ludności w państwie mógł być przeciwieństwem tej liczbie.

Należy nam wzięść tu pod uwagę, iż nie samo tylko oświecenie umysłu sprowadza szczęśliwą tę zmianę, lecz łączą się z niem i wytworzone nawyki, które gdy nie obniżają poziomu życia, rutynicznie go podnoszą. Inaczej się bawi człowiek wykształcony, inaczej prostak, który może jedynie używać przyjemności zmysłowych, przepadają więc dłoń rozkosze jakie daje literatura, sztuka; nie raduje go postęp wiedzy, którego w nieświadomości swojej nie pragnie. Wykształcenie tworzy nietylko ludzi użytecznych społeczeństwu jako prawników, statystów, literatów, ale podnoszą oni ogólny poziom myśli i uczuć, Milton określił też tak znaczenie wykształcenia: „Szlachetne i doskonałe wykształcenie jest według zdania mego takie, które nakazuje człowiekowi być sprawiedliwym, umiejętnym i wspaniałomyślnym we wszystkich jego czynnościach tak prywatnych, jak publicznych, pokojowych czy wojowniczych.“

Trzeba przecie na to uczyć się całe życie. Anglicy posiadają przysłowie bardzo mądre: „Żyć to uczyć się“ i rozumny anglik, prof. Huxley, napisał też że każdy człowiek, który nie chce zostać zacetanym w biegu lat życia, powinien nie przestawać nigdy kształcić się, to jest czytać—czytać wszystkie wyższego znaczenia książki, które mogą oświecić mu umysł, dodając tu przecie uwagę wyjętą z traktatu Locke'go „Edukacja człowieka,“ że nie dość jest czytać dobre, mądre książki, trzeba jeszcze nad treścią ich poważnie się zastanawiać i wytworzyć sobie w umyśle pewne dla życia formuły — prawa, któreby oddziaływały na życia tego ruch żywy. Ale

potrzebnem jest obok tego coś więcej jeszcze; czytać, myśleć, jest to zgromadzać materiał surowy, który w części znacznej jest w stosunku do życia naszego materiałem takim, jak naprzykład cegła na dom, który budować mamy; trzeba nam jeszcze dobrego zużytkowania zapasów, czego nauczyć nas może tylko żywe życie—stosunki z ludźmi. Jedne odbierają nam szlachetne siły odwagi i męstwa, rozmiękczają nas, poniżają przez samolubne na życie poglądy, gdy inne budzą w nas zapał, każą kochać to, co jest piękne a czyste, co podnosi w nas dzielność męzną.

Kształcenie dobre, kształcenie prawdziwe, to rozwój harmonijny wszystkich naszych zdolności, a rozpoczyna się ono niemal w kolebce, nauka szkolna poddaje mu materiał potrzebny, ale nie jesto jeszcze koniec. Rozumny anglik, Gibbon, mądrze twierdził, że są dwa rodzaje wykształcenia: jedno dostaje nam się od ludzi, drugie, ważniejsze o wiele, każdy z nas musi dawać sam sobie i filozof Locke nie mylił się bynajmniej dowodząc, że nikt nie stanie się mędrcem kto tego samodzielnego wyrobienia umysłu nie zdobędzie sobie siłą własną, a jest tak samo i z sercem człowieka: trzeba mu przygotować je do odbierania wrażeń dobrych, odtrącania złych, jeżeli życie jego ma być szlachetnie i rozumnie przebytem. Zdolności rozwijają się w nas niejednakowo; często dzieci bardzo bystre na pozór nie przechodzą po za linię średniej miary, gdy inne, mniej obiecujące, wykazują z czasem umysł wzniosły i szlachetne na życie poglądy. Göthe porównał dzieci, zwane cudownymi, do tych roślin, których wszystkie soki ożywcze w kwiat się tak wciela, że już potem brakuje ich, aby owoc doszedł wyższej miary. Zadaniem ukształcenia umysłu nie jest największa ilość danych mu wiadomości, ale zrozumienie tego, co wiadomości te nam przynoszą,—tego, co staje się w nas światłem rozjaśniającem życie.

Wiedza jest przecie potęgą. Kinsley wykazując jej znaczenie w dzisiejszej ekonomii życia ludzkości

pisze: „Wiedza, która nam dała telegraf elektryczny jest oszczędnością czasu, nauka pisania pozwala nam siedząc spokojnie w domu porozumiewać się z ludźmi przez przestrzeń, nauka ekonomii domowej strzeże naszego mienia, nauka praw naszego organizmu daje nam zdrowie i nie pozwala nadużywać sił, wiedza umysłu stoi na straży godności naszej duchowej, broni od upadku i poniżenia. Herbert Spencer wykazuje, że zdrowie nie tylko ciała ale i ducha na niej się opiera; społeczeństwa zawiązały się na jej podstawie i to co było w sercu uczuciem, stało się przez nią czynem, ugruntowanym na naturze tego, co człowiek kocha i czei jako dobro swoje, które go bogaci w szlachetne uderzenia serca.

Jeden z wyższych myślicieli angielskich, D-r Fitch, pisze też: „Skoro spojrzę w tył na własne życie moje, dochodzę do przekonania, że ani jeden dzień nauki szkolnej, ani jeden wyczerpany z niej fakt historyczny, ani jedna formuła matematyczna, lub gramatyczna, ani jeden wiersz poezji, którego kazano mi się nauczyć na pamięć, nie zostały gdzieś w tyle, jak coś oderwanego już od istoty mojej i użytego. Czuję nieraz jak ta przeszłość oddziaływała na mnie, jak nieraz ukazuje mi się niespodziewanie w zastosowaniu życiowym siłą większą, niżbym się mógł spodziewać, rezonując nad tem. Powtórzę też trzeba każdemu z nas za Beaconsfieldem to, co napisał w żywocie Stanleya: „Wiedza jest to cudowna ta drabina, ujrzana we śnie Mojżesza. Opiera się na twardym gruncie ziemi, lecz dźwiga się w niedostępną nam krainę powietrzną i dotykając niebios pozwala, aby duchy dobre zstępowały do nas po jej szczeblach—aby ziemia miała łącznik swój z niebiosami.“

Człowiek—twierdził Pascal—jest trześcią, która przeciw myśli. (un roseau pensent) Jeden wezbrany strumyk górski, jeden gwałtowniejszy powiew wiatru porwać go i zabić może, a przeciw jest on potęgą wyższą niż cały ten świat natury, który go otacza, ponieważ on jeden myśli i zdolnym jest doskonalić się, obejmować umysłu swego władzę co raz to szersze horyzonty, otaczającej go nieskończoności. Czemu przeciw trzeba mu, aby odpowiedział przeznaczeniu swego istnienia na ziemi?—Gorącego serca, chłodnej głowy i zdrowego ciała—odpowiada myśliciel, który się nad stanowiskiem człowieka wśród natury zastanawiał, Emerson. Jeżeli nie będzie on umiał połączyć w sobie tych danych, nie potrafi być ani szczęśliwym, ani przeznaczeniu swego istnienia odpowiadającym. Serce chłodne czyni go samolubem, głowa gorąca popycha go nieraz do czynów, które mogą się stać dlań nie tylko nieszczęściem, ale i winą wtedy nawet, gdy zapragnie dobra i stać będzie przy niem według poglądów jego na sprawę, którą podejmuje. Lubock stawia też pytanie, jakim więc sposobem, jaką drogą człowiek może zdobyć sobie potrzebne tu przymioty?— „Przez samokształcenie...“ odpowiada Stuart Mill—bo nikt nie zdoła dać tego nikomu wtedy nawet, gdy daje mu wiedzę rozległą.“

Trzeba tej wiedzy weilić się w moralną istotę człowieka, a wtedy dopiero wytworzy się w nim siła, która mu da moc rządzenia sobą i skłaniania się do tego, co jest obowiązkiem: uczciwego życia podwaliną. Mill dodaje przeciw, że trzeba na to przedewszystkiem, abyśmy nie cofali się nigdy przed tem, co nam się tu przedstawia jako rzecz trudna, jako rzecz mozolna do spełnienia—abyśmy usiłowali zdobywać sobie jak najwięcej takich wiadomości o życiu, przez które poznać byśmy mogli życia tego cele prawdziwe. Umysł wykształcony ukazuje to człowiekowi jaśniej i dokładniej, ale aby tak być mogło nie dość jest wiedzieć wiele, ale wiedzieć dobrze, wiedzieć na podstawie takiego kierunku myśli, które by były łącznią istoty naszej z ludzkością. Lubock kładzie na to nacisk silny i dodaje na zakończenie, że wykształcenie umysłu jest wtedy tylko dla człowieka dźwignią, która go podnosi ku wyższym celom przeznaczenia człowieka wśród ludzkości.

M. I.

POGA WĘDKA.

Coraz później słońce wstaje.

Coraz wcześniej w głąb zapada—

Przez gęstwinę drzew i krzewów,

Zradna jesień się zakrada—

Choć nic jeszcze nie ubyło

Ani z blasków ni promieni,

Nawet złota widzisz więcej

Pośród łąk i drzew zieleni,

Jednak—wieje coś tęsknotą,

W sercu czujesz żal bezdenny—

I—oddalbyś wszystkie złoto,

Za zielony dzień wiosenny.

Czy nie tak?

Ale, ale—do kogo zwracam się z tem zapytaniem, od kogo żądam potwierdzenia słów poety?... Ci, co byli, czy tak nieszczęśliwi, czy tak leniwi, czy tak zakochani w szarych murach swojego miasta, że nie mogli lub nie chcieli wyrzeć dalej jak za mokotowskie lub belwederskie rogatki, gdzie przepełnione tramwaje zawiozły ich do Marcelina, Wujtówki lub Willanowa, z kądem w gwarnem, czasami nawet bardzo gwarnem towarzystwie, wrócili napowrót do Warszawy; ci nie potrafili zatęsknić do owych dni zielonych, jakimi darzy wiosna, nie uczują smutku, jakim jesień przemawia, tego żalu po dniach spokoju i ciszy, któremi kołysało się serce, zdaleka od ludzi i gwaru świata, do którego tylko przemawiał Bóg—i natura. Wielu opuszcza Warszawę i wyjeżdża do letnich siedzib, by—jak mówią—uniknąć jej gwaru i kurzu a piersiom pozwolić zdrowszem odetchnąć powietrzem. Mieszkają więc w chatach lub willach, często nawet położonych wśród lasów sosnowych—a mimo to w ciągu tego paromiesięcznego używania niby wiejskich rozkoszy, nie całkiem zrywają z tem, od czego uciekli. Kobiety więcej jeszcze od mężczyzn oddają się przyjemnościom willegiatury, bo co się tych panów stworzenia tyczy, to oni dość prędko zwracają wzrok ku opuszczonej Warszawie, a nieumiejąc nie z czasem poradzić, szukają dobranego towarzystwa, by móżdż choć parę robrow wincika, dla rozrywki, zagrać. Chwilowi mieszkańcy Nowo-Mińska, Miłosnej czy innych stacyi, czy przystanków, łudzą się, myśląc, że oderwali się całkiem od miasta. To miasto wciąż się im przypomina, przypomina się nieustannym gwizdem lokomotywy, hałasem pędzących wagonów, gwarem i tłumem ludzi, napełniającym perony owych dworców kolei. Ten gwar, tłum i hałas, jako się niejednokrotnie przekonałem, nie jest niemiłym dla uszów, oddającym się wiejskim rozkoszom letników. O wiadomej godzinie nadejścia tego a tego pociągu—kto tylko żyw spieszy na dworzec.

Powiecie może, że nie dziwicie się temu wcale, spieszą, by powitać przybywających: siostrę, brata, zresztą męża i ojca z produktami powracających z Warszawy.

Być może, że są i tacy, napewno nawet wiem, że są... Ale większość?

— Na gapia wychodzi—chciałes łaskawco powiedzieć.

— Nie—tego wyrazu nie miałem zamiaru użyć.

— Zatem?

— Przyzwyczajenie staje się drugą naturą. Ot, nie jest to nic innego, jak tylko, że—mimo zwychnego zapachu sosen, swiergotu ptaictwa, klaskania wiewiórek i ich akrobatycznych skoków, pomimo oddychania balsamicznem powietrzem i tym podobnych rozkoszy wiejskich, zdaleka zasłyszawszy gwizd lokomotywy przypomina ukochane miasteczko i zamiast uciekać jak najdalej w głąb leśną, spieszą na dworzec kolei, by wmieszać się w tłum ludzi i odetchnąć choć parę minut tem powietrzem, od którego uciekli. Pociąg idzie z Warszawy, można spotkać lub nie spotkać znajomego, dowiedzieć się to a to, a jeśli nie się nie dowiedziało i nie spotka-

ło nikogo pożądanego, to zawsze ten ludzki kalejdoskop, bawi wzrok, stokroć więcej, niż mgły rozślane hen, hen na dalekich moczarach, niż ślizgające się słońca promienie po czerwonych korach sosen, niż tajemnicze cienie i półcienie, białe plamy księżycy, srebrne świty i złote wschody słońca. Ci, udający się na wypoczynek letni są to *par excellence* mieszczuchy, nie mogący się zupełnie od miasta oderwać. Trochę miasteczka a trochę wsi im potrzeba—i gdy wydzwoni godzina powrotu, bez najmniejszego żalu rzucają swoje letnie schroniska, z rozkoszą dają się na nowo porwać nieustannemu wirowi miasta, i o chwilach swojego pobytu w Mrozach czy Chotomowie nie wspominają jako o śnie rozkoszonym, z którego rozbudzeni zostali. Tacy by wytartej, złotej monety nie dali za jeden, zielony dzień wiosenny—i ja się im nie dziwię. Ażeby zrozumieć czem jest urok dnia tego—potrzeba zupełnie niemal oderwać się od ludzi i gwaru tego świata. Potrzeba umieć być samotnym, mieć ucho wprawne, by rozróżniając szelest dębu od brzozy, szumy lip od drzenia listków olszyny zrozumieć piękność tego koncertu drzew i później—tęsknić za nim.

Lecz już dawno przeminęły dni wiosenne i latogoni ostatkami uroków swoich. Z dalszych i bliższych stron, spieszą w mury Warszawy różnych usposobień ludzie: jednych gna zamiłowanie ruchu i gwaru, innych obowiązki; ci spieszą na leże zimowe w przewidywaniu zabaw i rozrywek, jakie dają miasta wielkie—tameci do jarzma pracy, ciężkiej, męczeńskiej nieraz. I coraz gwarniej i coraz pełniej na ulicach i placach Warszawy; zaroilo się już od mundurków uczniowskich, ściga się i młodzież uniwersytecka, na którą patrzymy ze drżeniem serca, boć to są dzieci nasze, którym pod nogi rzucić byśmy chcieli niejedną kwiat róży, dzieci które, kiedyś, zajmą opuszczone przez nas miejsca, by znów następcem swoim przekazać.

Te dzieci, te dzieci—to dziś największa troska serc rodzicielskich. Przed Bogiem i—przyszłością te serca tylko odpowiadać będą.

Głos jakiś przerywa mi myśli.

— Co?—pytam.

— Czy od tych rodziców zależy wszystko?

— Tak!—odpowiadam bez namysłu.

— A ludzie?

— Byli zawsze i będą.

— A otoczenie, towarzystwo?

— Wiem, co chcesz mówić. Towarzystwo bywa złe...

— Tak!

— Otoczenie zepsuć może dobro przez nas zasiane.

— To pewnik stwierdzony.

— Mylisz się!

— Mogłbym ci tysiące przykładów wyliczyć... Wykoszlawionych dróg, spaczonych serc, na które pokładaliśmy nadzieje złote?

— O tem mówię...

— Ha! łatwo pokładać nadzieje, odurzać się marzeniami wyległymi w umysłach własnych. Lecz jakie są ku temu podstawy? Chcemy, by syn nasz odpowiedział gorącym zamiarom naszym, lecz czyśmy sami przykładali ręce do tego? Niech one się nie spełnią, niech zamiast prawości nieprawość ujrzemy, zamiast enotę, występki—narzekamy na złe otoczenie; na towarzystwo, które niedoświadczony pociągnęło umysł, dobremu sercu kazało źle uderzać. Cóż łatwiejszego, jak winę własną na obce barki zwalić?

— Szkoła urabia człowieka, świat kształtuje.

— Ty mówisz!

— A ty?

— Dom rodzicielski tworzy człowieka—szkoła daje rozum.

— A świat?

— Wykształca ziarno, przez ojca i matkę zasiane.

— Jest że ojciec lub matka, którzyby w dzieciach swoich szczepili złe ziarna?

— Nie ma. Jeżeli są wyjątki, o tych nie mówię.

— Zatem?

— Uczą katechizmowych prawd, bez należytego ich wytłumaczenia i myślą, że zadość obowiązkowi swojemu uczynili. Tymczasem dziecię potrzebuje

ciągłego niemal obcowania z ojcem lub z matką, którzy powinni zawczasu przygotować jego umysł do tego, co go w życiu spotka. Nie dość powiedzieć: „Potrzeba być dobrym“ lecz wytłumaczyć trzeba co to jest dobroć i samemu świecić przykładem, by dziecię nie dostrzegło żadnego rozdźwięku między wypowiedzianym słowem a czynem. Pieszczota dla dziecka jest konieczną, lecz z wrastającym rozwojem jego fizycznych i umysłowych sił, powinienes mu mówić, że są cierpienia, że cierpieć czasem potrzeba i uczyć go musisz sposobu znoszenia cierpień. W niepokalanej światłości kap duszę jego, ażeby brud każdy ohydny mu się wydał. Powinien syn twój wiedzieć, że brud ten spotka—ale i wiedzieć powinien, że tknąć go nie wolno. Znam rodziców, kochających dzieci swoje, lecz ich miłość kończy się na pieszczotach i pocałunkach, na trosce, gdy zachorują, na kłopotcie, gdy w danej chwili nie stanie im na strój dla nich nowy. Ale uwagi swej nie zwracają na naturę dziecka, na skłonności, które na świat z sobą przyniosło. Bo nie myśl, że dusza jego jest kartą białą, na której dość ci tylko napisać enót parę, by prawda na wieki wryta została. W błędzie jesteś. Ta dusza dziecka jest częścią twęj własnej duszy i tej duszy, co ciebie poprzedziła. A jesteś bez wad? Prawda, że wad się swoich nie widzi, lecz trzeba je w dziecku dojrzeć; dojrawszy—ukryj własne, by ono nie spostrzegło ich nigdy. Uczyć dziecię, to uczyć siebie zarazem. W ten tylko sposób zapanujesz nad niem, w ten tylko sposób uwierzy tobie i nie zaprzę się nauk mu danych. Przyjdą później ludzie i otoczenie. Ludzie i otoczenie doberze już sam sobie wedle popędu swej duszy. A jaki ten popęd będzie ty wiedzieć już musisz, obowiązany jesteś wiedzieć. Dziś tak się dzieje, że świat wykształca ci dziecko. Lecz gdzie ty byłeś? Świat dopiero pokazuje mu drogę śliską, po której w przepaść stoczyć się można. Dla czegoś ty jej nie wskazał? Świat mówi dopiero, że są owoce zakazane,—gdy o tem ty powinienes powiedzieć i dać mu moc przeciw pokusom. Wszystko przywidzieć, wszystko uprzedzić—to obowiązek jest rodziców, obowiązek trudny, lecz konieczny a chlubny zarazem. Nie lękaj się wtedy upadku—upadłego podźwigną wspomnienia twych pieszczot rozumnych i nauk płynących z kochającego serca. Nie pokonywaj mnie przykładami, które wiem, że wzięłeś z życia: *rodzice zaci i syn nędzny*. Mógłbym ci także jeden okropny przykład przytoczyć, gdzie syn szanowanych słusznie rodziców, wpadł w otoczenie tak ohydne, że skończył na wykradaniu pierścionków u swej matki, by za wzięte za nie pieniądze dać wodze wyuzdaniu. Skończył samobójstwem, będąc zaledwie na progu życia. Dotknięty sromotą jego występku ojciec, nie chciał nawet mogiły syna widzieć, ludzie znający zacność rodziny—dziwili się. Jam się nie dziwił. Niczemu biednemu dziecku nie brakło. Pod dostatkiem miał pieszczoty i marzeń rodzicielskich o świetnej przyszłości swojej; lecz gdy wszedł w świat, nie znał świata, gdy przyszło do walki, nie miał żadnej broni do walki, opadłym zewsząd pokusom nie oparła się pierś niehartowna i nieświadoma niczego. Nie wiedział nic, że są ponęty, przeciw którym z odkrytą przyłbicą iść potrzeba; a przecie rodzice jego to byli ludzie wiedzący, że świat nie z aniołów się składa.

— Więc każesz z przed oczu dziecka wszelką zasłonę zerwać.

— Usuwać pomału, dzień po dniu, rok za rokiem; pokazywać światło i cienie, kryształ wód i męty bagnisk. Przecz to wszystko zobaczyć musi— a czyjesz dłonie mają to pokazać, jeżeli nie rodzicielskie dłonie? Powtarzam raz jeszcze: trud to nie mały, praca Syzyfa, z tą tylko różnicą, że głąz na szczyt góry wyniesiony być musi. Jeżeli wtedy syn nadzieje swe zawiedzie—klnij losy! Lecz ja ci powiadam od ciebie zależy przyszłość domu twojego.

Przeciwnik mój umilkł—ja wyszedłem na ulicę.

Coraz pełniej i coraz gwarniej w Warszawie. Rują się mundurki młodzieży szkolnej i nowe czapeczki studenckie widać na głowach, które otrzymawszy naturę wyżej niż przed tem się podniosły i marzą o dobrej przyszłości. Znajdują się wątrobiarze, którzy żółciowemi słowami pragną powstrzymać ten zapal młodzieńczy.

— Na jaki wydział kawaler wstępuje?

— Na filologią.

— Aj, aj! co się to marzy kawalerowi? Filologia! Po co ona dzisiaj; na co się przyda w tych czasach ciężkich? Gdy broń Boże bieda zajrzy kawalerowi w oczy, co zrobisz z twoją filologią? Niech temu niebo odpuści, kto kawalera na tę filologię namówił...

W tem druga czapeczka błysnęła.

— A—witam!

— Moje uszanowanie panu!

— Ze wsi?

— Tak.

— Do pracy?

— Nie inaczej.

— A na jaki fakultet?

— Na prawny.

— Co? co?

— Zapisalem się na prawo, panie dobrodzieju. — Bodajby ziemię gryzł, kto tobie prawo poradził.

— Dla czego?

— Jakto dla czego? Czy to mało adwokatów, którzy jak niedźwiedzie łapy liżą z głodu? Dawniej to panowie prawnicy robili fortuny, bo ludzie mieli procesować się za co. A dzisiaj!... Każdy powtarza, że lepsza słomiana zgoda niż złota wojna. Kto teraz adwokata wezwie? chyba pieniącz jakiś zaściankowy, z którego nie bardzo się pożywisz. Szkoda zdrowia, sił i zdolności, kawalerze!

Pocieszywszy tak przyszłego oblubieńca Temidy, spotykają na zakręcie ulicy syna powszechnie znanego pana Tadeusza.

— Co—już!

— Co, łaskawy panie!

— Mundur studencki—ha, ha! Ej, jak to czas leci! Tak niedawno jeszcze widziałem ciebie chłopczkiem biegnącym do szkoły, z tornistrem na plecach—a teraz? Fiu, fiu! Dalibóg student... Mówił nawet kochany Tadeusz, że piątek w atestacie nie zliczyć. To dobrze, to bardzo dobrze! Miło jest takiego syna się doczekać. A jaki zawód, kawalerze, obrałeś?

— Medycyna.

— Medycyna?

— Tak jest, proszę pana.

— Czy masz już taki nieprzeparty pociąg do doktorstwa?

— Tego nie powiem, bo nawet nie umiałbym powiedzieć. Ale, proszę pana, rodzice nie opływają w dostatki, a więc—choćby może serce do czego innego się rwało, muszę iść za głosem rozsądku.

— I poszedłeś?...

— Na medycynę—dla chleba.

— A czy ty wiesz, co to jest medycyna?

— Dowiem się.

— Dowiem się! A—ha! Dowiesz się po zmarowanych paru latach pracy i później co?

— Wytrwam.

— Gadaniel!

— Nie, panie, to postanowienie.

— I cóż ojciec na to?

— Wolny zostawił mi wybór.

— I nie odradził?

— Dla czegoż miał odradzać?

— Co się Tadeuszowi zrobiło na zatracenie własne dziecko oddawać!

— Na zatracenie?

— Spodziewam się.

— Dla czego, panie?

— A czy ty wiesz, co to za praca przy tej medycynie?

— Mówiono mi: Duża!

— Byłeś kiedy w prosektorium? wahałeś trupy?

— Nie, panie!

— Niel! To powąchaj, koteczku! Jak cię zemdli raz i drugi, to za dziesiątą górę uciekniesz—i co?

— A przecie jest tylu doktorów?

— I dla kogo, dziś medycyna prawie funta kłaków nie warta. Bo—przypuszczam, że wytrwasz, przypuszczam nawet, że skończysz doskonale ten medycyński fakultet—lecz, jeżeli nie będziesz Chałubińskim albo Baranowskim, a przecie tacy na pniu się nie rodzą—z głodu umrzesz, nim pierwszego pacjenta dostaniesz. Do tego, młodych doktorów

Warszawka zawsze nęci, ale w niej już jest za ciasno dla wyznawców Eskulapa. Na prowincję tedy ruszaj i zbieraj groszaki, które ci żywota wcale nie osłodzą.

— Pójdę dalej.

— Gdzie? dokąd? Wszędzie was pełno. Chyba sami siebie kurować będziecie—dla wprawy. Dawniej zawód doktorski dawał coś, czasami nawet dużo dawał, ale dzisiaj? Co kijem rzucisz to trafisz w doktora. A perspektywa nie miła stracić na zmułnej, na bardzo zmułnej i ciężkiej pracy najpiękniejsze lata młodości—i co? Zawód—oczywiście, że zawód. Weź się do czego innego, kawalerze, bo medycyna już bankrutuje!

Tak mówią wątrobiarze i zamiast zachęcać do wytrwałości, zamiast do młodych bojowników przemówić:

Kto dzieckiem łeb urwał hydrze

W młodości zdusi centaury—

rzucają w serce trawione gorączką pójsia naprzód, zły zaród zniechęcenia, myśląc, że słowami ich kierowała życzliwość przyjacielska, doświadczenie, i znajomość wszystkich dróg życia.

Ale ty, młodzieży, nie zrażaj się prorocztwami złych wróżbitów. Nie każdy upragniony cel osiągnie, nie każdy wytrwa w pracy trudnej a mozolnej, zmienne są losy przeznaczeń ludzkich. Lecz zły to żołnierz, który w tornistrze swym nie nosi marszałkowskiej buławy. Młodość i wola silna—to dwie potęgi, na które liczyć możecie. Za złe wam nie biorę choćby najgórniejszych marzeń waszych, bez silnej wiary w te marzenia, nie zrodzi się czyn żaden, może z nich paręlistków opadnie, może niejedna zielona gałązka się złamie, zostanie zawsze coś, co trudów waszych nagrodą będzie, i opromieni wam czoła tym dobrym spokojem, jaki daje wytrwałość w postanowionem raz przedsięwzięciu. Namyśleć się można, trzeba nawet nad wyborem dróg, jakimi iść macie—ale raz je obrawszy, nie zrażajcie się spotkaniami przeszkodami, bo one być muszą; śmiało do celu idźcie, wierząc w osiągnięcie jego.

Dziś marzeniom odbierają prawo bytu—i dla tego tak wielu widzimy młodych starców. Bolesne wrażenie na mnie robi ośmnastoletni młodzieniec, pozujący na dojrzałego człowieka, otrząskanego z różnemi wypadkami życia; wstrętną jest dla mnie twarz tego dziecka, na której płomiennego nie można wywołać rumieńca. W duszy tej, przedwczesnie wystygłej nie wybuchnie już ogień zapału; nie wyciągając nigdy rąk do gwiazd i słońca, nie wchłoni w pierś swą błękitów i zadrży przed gromem, rozdzierającym nagle strop nieba. Niel! młodość marzyć musi i orle mieć skrzydła, w niej tylko szczęście, z niej tylko czerpiemy siły na dalsze lata długiego może żywota. Niech kłęski i burze nadejdą, niech szczyt niejednej kolumny wiech życia zwali—zostanie wspomnienie walk, wspomnienie, że się żyło i żyć musiało.—Powtórzę tu jeden wiersz z poezy:

Pierwiosnku! jesteś ty młodością roku,

Młodości! jesteś ty pierwiosnkiem życia—

Czas dla was płynie na falach potoku

Wśród blasków słońca i wśród tęcz spowicia.

Lecz przyjdą burze i piorunów bicia,

Gromy uderzą z przeznaczeń wyroku—

Zginiesz pierwiaskiem, ty młodości roku!

Pierzchniesz młodości, ty pierwiosnku życia!

Więc nie marnujcie drogich chwil zachwyty,

Do słońca goncie skrzydłami orlemi!

Chwilę wam bawić w regionach błękitu,

Oddychać chwilę piersiami całemi!

Bo kto w młodości nie uniósł się z ziemi,

Pęt mu już nie rwać ani dojść do szczytu:

Więc nie marnujcie drogich chwil zachwyty,

Do słońca goncie skrzydłami orlemi.

Ach! uniosła mnie poezja. Nie dziwiecie się „jej czas nademną trwa.“ Ale wolałem z wami pokłócić się choć chwilę na jej falach błękitnych, niż izuć suche sprawozdania o wypadkach codziennego życia, które jednostajnością swoją, szarością, czasami męcząco nurzą.

Zresztą jestem ptak świeżo z pól i lasów przybyły, odstałem trochę od spraw miejskich, nie rozjrzadłem się jeszcze i nie wiem, co się do koła mnie dzieje.

Powrót mój nie był zbyt przyjemny. Na zapytanie: co słyście—odpowiedziano:

— Czy słyście o zbrodni?

Brrr!...

Wyraz sam już jest ohydny—a cóż dopiero czyn? Rad nie rad, wysłuchałem strasznej opowieści...

Ha! Warszawa się staje coraz większym miastem. Bójki uliczne, pchnięcia nożem, to już zazwyczajne. Teraz Warszawa zelektryzowana została tajemniczym morderstwem, jednym z tych, na których osnuwał kryminalne powieści swoje Gaboriau.

Ofiarą zbrodni padł p. Józef Walner. Z dzienników wiecie szczegóły nierozjaśnionego jeszcze wypadku. Ja po nad nim do porządku dziennego przechodzę.

Warszawa—gwar—tłok...

Co robić?

Lubię teatr—udaję się więc na... Kaśkę Koryatydy.

Żle wychodzą wszystkie powieściowe przeróbki na scenę. Tym razem autorce sensacyjnej powieści powiodło się w zupełności to przerobienie. Gdyby z „Kaśki“ zrobiony był dramat—mógłbym to i to zarzucić, bo rzecz cała za epizodycznie trochę prowadzona; ale autorka nie miała zamiaru dramatu tworzyć i tem ocalała sztukę od braków pewnych. *Kaska Karyatydy* jako melodramat jest doskonały. Sceny, drastyczne w powieści, złagodzone zostały, na czem sztuka tylko zyskała—życie zaś *Karyatydy*, pełne smutnej prawdy niejednego widza do głębi poruszyć może. Nie żal mi wieczoru spędzonego w teatrze Nowości. Nie będąc świętoszkiem, mówię, że sztuki podobne mają racją bytu.

Ale... ale zauważyłem w łóżach dziewczątka przyprowadzone przez matki na „Kaśkę.“

Czy tak być powinno?

??

DLA DZIECKA.

NOWELLA.

Pociąg, idący z Granicy, zbliżał się do Warszawy. W wagonach ruch się zrobił, podróżni zawczasu zabierali swoje manatki i cisnęli się ku drzwiom, inni stali w oknach, wypatrując krewnych albo przyjaciół, na peronie oczekujących. Dwoje tylko młodych ludzi, on i ona, nie śpieszyło z powstaniem. Gdy ojciec panny sięgnął po ręczny tłumoczek a matka do porządku przyprowadzała zawiązanie jakiegoś młodzieniec przysunął się bliżej do ślicznej swojej towarzyszki, jakby chciał skorzystać z tej krótkiej chwili, która jeszcze pozwałała być im razem.

— Warszawa,—szepnął — Warszawa, do której przybywam po tylu latach pobytu zagranicą, w której mnie oczekuje stęskniony za mną ojciec. Miałoby to dla mnie obce prawie, bo będąc młodzieńcem jeszcze opuściłem jego mury. Nikogo ze znajomych, nikogo z przyjaciół tam nie mam, prócz tego, któremu winien jestem życie, naukę i dobrobyt dający mi możność wesolego na świat patrzenia. Choć śpieszyłem do miejsca rodzinnego nie cieszyła mnie myśl długiego w niem pobytu—teraz inaczej...

Błękitne oczy dziewczyny spojrzały na mówiącego.

— Inaczej?

— Tak, pani!

— Od kiedy pan pogodził się z tą myślą?...

— Od chwili, w której dowiedziałem się, że rodzice pani, wraz z nią zamieszkają w Warszawie.

Silne rumieńce wystąpiły na twarz panny.

— Ogromny kawał drogi przebyliśmy razem. Od Paryża do Wiednia byliśmy na stopie zwyczajnych podróży, którzy, choć rozmawiają z sobą, nie wiedzą nawet, jak się nazywają; poznaliśmy się bliżej w Wiedniu, gdy wolno mi było towarzyszyć państwu przy zwiedzaniu ciekawości miasta. Tam też się dowiedziałem o stałym zamiarze ojca pani zamieszkania w Warszawie. Z obcych, staliśmy się już dobrymi znajomymi; nie „panie Skulski“ lecz „panie Tadeuszu“ zaczęła pani mówić do mnie; kwiatek zerwany przez panią na błoniach krakowskich i mnie ofiarowany był pierwszym podarunkiem, jaki otrzymałem od kobiety. Nie wiem, czy dlatego, że to był pierwszy dar kobiety, czy że ten dar pochodził z rąk twoich, panno Julio—świat mi się piękniejszy wydał.

Rączka panny Julii dotknęła lekko ręki Tadeusza. W tej chwili pociąg ze zgrzytem minął krzyżownicę dróg i stanął przed dworcem. Korzystając z zamieszania, Tadeusz rączkę dziewczęcia szybko do ust przycisnął.

— Nie każ pan na siebie długo czekać—szepnęła panna.

Ojciec Julii zwrócił się do Tadeusza.

— Zatem do widzenia—rzekł. — Mam nadzieję, że podróżna znajomość nasza w dobrą przyjaźń się zamieni. Rad bardzo będę poznać ojca pańskiego. Nie proszę, ażebyś pan odprowadził nas do mieszkania, wiem, że serce pańskie bije z niecierpliwością, że chciałbyś już jak najprędzej drogie ręce rodzica, po latach niewidzenia się, ucałować. Nie znam go, ale załącz panie Tadeuszu mój szacunek od Hilarego Zbąskiego.

Rozstanie się było serdeczne. Tadeusz miał dobry układ, naukę a do tego twarz piękną, na którą zwracała uwagę nie tylko połowa rodu niewieściego. Serduszek panny Julii od pierwszego niemal spotkania się jej ze Skulskim, zostało owładnięte nieznaniem dotąd uczuciem. Przeczekał to Tadeusz i rad był z odkrycia, bo i jego pierś wezbrała i jego serce nieznany dotąd czar wypełniał. Zrazu niechętnie opuszczał Paryż, choć wzywał go ojciec, do którego tęsknił po długich latach rozłąki. Lat dzieścięć nie widział ojca, podczas feryi nie wracał nawet do kraju—taka była wola starego Skulskiego. Wiele razy Tadeusz w listach swoich wyrażał życzenie przybycia choć na parę miesięcy, tyle razy otrzymywał zagadkową odpowiedź ojca: „Nie zostaniesz mnie w domu—przyjdzie czas, gdy wezwę ciebie.“ Zostawał więc w Paryżu, oddany pod opiekę ciotki, zamieszkała tam od lat dawnych.

Śmierć ciotki nie pociągnęła za sobą zmian żadnych. Zmienił tylko mieszkanie i większy zasób pieniędzy od ojca otrzymywać zaczął. Już to na brak ich nie uskarżał się nigdy. Stary Skulski posyłał więcej niż Tadeusz wymagał. Szczęściem, że marnotrawstwo nie leżało w naturze jego, że umiał się powstrzymać od tego, co zrazu stanowiłoby rozkosz życia, lecz prowadzi do nędzy życia. Dobrze zasady wywiózł z domu, ale owoc tych nauk nie ojeu lecz s. p. matce zawdzięczał. Miał lat piętnaście, gdy umarła ta dobra, ta tak serdecznie przez niego ukochana matka. Dotąd w pamięci mu stoi twarz jej blada i smutna zawsze. Nieraz widział do koła uśmiechnięte usta — jej usta nie znały uśmiechu; nieraz słyszał wyraz: „szczęście,“ przez obce mu wymawiane osoby, tego wyrazu nie posłyszał nigdy z ust matki. Jeżeli wymawiała go, to tylko jako życzenie skierowane do syna, wyrazowi temu towarzyszyło zawsze westchnienie ciche, tłumione, czasami łyzy źle ukryte. Ta twarz smutna, te łyzy przez cierpienie jakieś wyciśnięte—nauczyły go zawczasu myśleć poważnie. Lubił pocałunki matki—a matka go całowała, gdy ją słuchał, więc ją słuchał, by ten słodki dar miłości matczynej otrzymać. Matka mówiła mu o Bogu, o ziemi, o ludziach, krzywdę ludzką uważała za grzech największy. Powtarzała też często: „Nikogo nie krzywdź!“ Powtarzała to takim głosem, jakby chciała, by on jak najgłębiej do serca jej dziecka zapadł. Jakaś wielka musiała ją zabić krzywda, ale on o tem nie wie. Nie dowiedział się i w godzinie śmierci matki, gdy raz ostatni to przykazanie z biejącymi ust jej wybiegło.

A teraz ojciec?

I on go kochał—kochał szalenie.

Mieszkali na bardzo oddalonej ulicy, w dwóch pokojach tylko, ale biedy nie było. Przeciwnie — o ile pamięta—z dniem każdym zamożność rosła. Dla czego stary Skulski zaraz niemal po śmierci żony wysłał go za granicę dla nauki—tego zrozumieć nie mógł; dla czego nie chciał, by nie powracał przed czasem, dla czego, gdy chciał powrócić, ojciec, wedle doniesień listów, opuszczał zawsze mury Warszawy—zgadnąć nie umiał. A przecie każdy list ojcowski przepełniony był tęsknotą, widocznie troszczył się o wszystko, co tylko tego syna tyczyło. Cieszył się z szybkiego postępu nauk, z zawartych stosunków i przyjaźni, z dobrego prowadzenia się dziecka. Lękając się, by czego nie brakło synowi, posyłał mu pieniądze, nie żądając rachunków, choć ten był sumiennie przesyłany. Tadeusz pisał, że mu na wszystko aż nadto wystarcza, że mimo kilku, kosztownych nawet wycieczek po Europie, spory już grosz na czarną godzinę odłożył.

„O czarnej godzinie ja myślę“—brzmiała odpowiedź ojcowska.

Tadeusz więc był szczęśliwy: Natura mu dała piękność i zdrowie, ojciec pieniądze, matka zasady, które niepozwołyły w stolicy zabaw i rozkoszy piękność i zdrowie stracić. Mimo to, błakał się czasami cieniem smutku na tem czole młodem. Było to odbicie wspomnień dawnych, zapamiętanych łez matki, jej słów o krzywdzie jakiejś, które ciężarem niewiadomego na dnie ułożyły się serca. W późniejszych latach, gdy rozmyślał nad tem znacząco wymawianem przykazaniem matki, mimo woli zwracał się do ojca i pytał: nie jesteś ty winien? Lecz nie przypominał nic, coby potwierdzało ten domysł. Ojciec zajęty pracą rzadkim był gościem w domu, wieczorem przychodził i pieścił jedynaka. Między mężem a żoną nie było swarów, lecz i pieśczętliwych słów nie przypomina sobie, ale czy brak ich byłby oznaką niezgodnego pożycia małżonków?... Oboje rodzice całą tkliwość na dziecko wyleli—to jedno Tadeusz pamięta; kochał ojca, bo mu zabawki przynosił, ubóstwiał matkę, bo przeżywane jej cierpienie jakąś aureolą świętości ją otaczało. I jedno jeszcze pamięta, że dom ich był zawsze pusty, nikt go nienawiedzał, chłód dziwny wiał od ścian pokojowych.

To zda się zrozumiałem dość było—byli ubodzy.

Powoli przybywał dostatek, sprzęty i wytworniejsze naczynia.

Dobrobyt ten jednak przybył zapóźno—jakieś ciche cierpienie zabiło matkę.

Teraz Tadeusz wie, że przyszłości obawiać się nie potrzebuje. Fortuna szaleńczo przechyliła ku niemu; ojciec nieraz o tem donosił i pisał, że to, co było troską jego życia, usunięte zostało z pod nóg synowi. Wracał więc szczęśliwy, szczęśliwy podwójnie, bo miła znajomość zawarta w podróży, rozszerzała przed nim jakiś świat nowy, nieznany mu dotąd, pełen uniesień czystych, zachwyty i rozkoszy.

Stary Skulski mieszkał na ulicy Pańskiej.

Tadeusz nie znał miasta, ulicę Pańską, przy której ojciec jego mieszkał, uważał za pierwszorzędną, lecz rozczerwanie nastąpiło szybko, gdy wiozący go powóz wbiegł na bruk nierówny i zatrzymał się przed trzypiętrową wprawdzie kamienicą, lecz o bardzo nieestetycznym wyglądzie.

— Czy pan Walery Skulski tu mieszka?—zapytał stróża.

— Tu, proszę pana—a pan do niego?

— Tak—jestem pana Walerego synem.

Stary stróż Michał obrzucił przybyłego ciekawymi oczyma. Wysmukła postać młodzieńca i jego strój wykintny dodatnie znać zrobiły wrażenie na Michale, bo zdjął czapkę i sięgnął po tłumok podróży.

— Pod jakim numerem mieszka mój ojciec?—pytał dalej Tadeusz.

— Pod dwudziestym ósmym—proszę pana.

— Piętro?...

— Trzecie!...

Tadeusz zmierzył kamienicę oczyma.

— Tu—od frontu?—zapytał.

— Nie, proszę pana, w drugim dziedzińcu, w poprzecznej oficynie.

— Weźcie moje rzeczy i zaprowadźcie mnie do mieszkania.

Przeszli pierwszy dziedziniec nie odznaczający się czystością, drugi był istnym śmietnikiem. Kamienie powyrywane, odpadki jedzenia walały się po kątach, na przeciągniętych sznurach wisały różne części ubrań ludzkich, a gromadka omuruszanych dzieciaków wrzeszczała niemilosierdzie, obrzucając się piaskiem, to czubiąc się zawzięcie, do tego zapach przepalanej cebuli rozchodził się z suteryny i weiskał się na wąskie, ciemne schody, po których stróż Michał wiódł tylko co z Paryża przybyłego panicza. Tadeusz ledwo oddychał i co chwila na nierównych potykał się schodach.

— Dla czego gazu nie zapalicie—toż to można kark skrócić?— odezwał się do idącego przodem Michała.

— Tu jeszcze naftę palą—odrzekł Michał.

— Ale ja nawet naftowego światła nie widzę.

— A pan by chciał, żeby przy słońcu świecić?— zaśmiał się stróż.

Stary Michał miał rację. Słońce zaledwie do połowy zaszło, więc był dzień jeszcze—po dniu zaś światła nie palą, a że zacieśniony dziedziniec między czterema ścianami kamienicy wyglądał jak studnia i nurzał się w szarości—to on temu nie winien. Szli więc po ciemku prawie i Tadeusz co chwila utykał, Michał śmiał się głupowato. Stanęli wrzeszcze przed drzwiami, na których żadnego znaku ani biletu wizytowego nie było.

Michał szarpnął za klamkę.

— Czemu nie zadzwonisz?— spytał Tadeusz.

— Stary Skulski dzwonek watą obwiązuje.

Tadeusz lekko brew zmarszczył—nie podobała się mu ta poufałość stróża. A że za drzwiami dało się słyszeć stapanie czyjeś—rzucił Michałowi rubla papierkiem i odezwał się:

— Możesz iść!

Michał nie wierzył oczom własnym. Zdjął czapkę, pochylił się i Tadeusza w rękę pocałował.

— Pamiętaj, że tu mieszka stary pan Skulski, nie—stary Skulski... Rozumiesz?

Stróż schylił się jeszcze niżej, podrapał się w głowę i odszedł skonfundowany nieco.

— Kto tam?— odezwał się za drzwiami jakiś ochrypły głos kobiecy.

— Syn pana Walerego.

— Aha!

Skrzypiący zamek klasnął raz i drugi, później słychać było podniesienie zatrasku i odsunięcie u dołu ochronnego łańcucha. W drzwiach ukazała się stara jakaś Megera, w poplamionej spódnicy, z rozczochranymi włosami, w których sterczały grzebienie kościane, poźółkły od starości. Służąca pana Walerego widać zajęta była porządkiem swej głowy, bo grzebienie zawisł u końca poplątanych warkoczków i patrzył na Tadeusza jakimś rekinowemi zębami.

Mieszkanie, jakie zajmował stary Skulski, składało się z przechodniej kuchni i dwóch małych pokojów, których okna wychodziły na znajomy już nam dziedziniec. Podłoga była niezamieciona, na sprzętach kurz leżał, zapach przygotowywanego jedzenia i swąd kuchenny napełniał wszystkie kąty i drażnił krtań przybyłego. W sypialnym pokoju stało dwoje łóżek, jedno z nich było czystą pościelą zaslane—to dla Tadeusza, drugie, o wysokich poręczach, pokryte podartą kołdrą i prześcieradłem o podejrzanej czystości należało do pana Walerego.

Tadeusz obejrzał się w koło i wzdrygnął się.

— Jak tu brudno!—szepnął do siebie.

Zwrócił się do sługi.

— Zastałem ojca?

— Za małą godzinę pan będzie—a bo co?

— Czy dawno wyszedł?

— Pan wychodzi o dziesiątej rano po herbacie a wraca na obiad o dziesiątej wieczorem.

— Czy mnie się dziś spodziewał?

— A czy pan nie widzi łóżka z białą pościelą?— zaśmiała się kucharka pana Walerego.—Jużci, że spodziewał się—i kazał na wazę zupę pomidorową przygotować. Ja sama pomidory prefasowałam, bo stary pan bez fasowania jada. Będą i kotlety siekane.

Tadeusz spojrział na ręce Małgorzaty—i wstręt uczuł do kotletów i zupy pomidorowej. Małgorzata pobiegła, bo coś skwierczeć w kuchni zaczynało—Tadeusz szukać miejsca, gdzieby mógł usiąść bez obawy zawałania się.

— Toż to nędza!—szepnął— a ojciec mi o pieniądzech donosił. Jednak te pieniądze były—miałem je w rękę, czułem ich wartość, bo nie zbywało mi nigdy na przyjemnościach życia. Co to jest?—pytał—co to jest?

Z niecierpliwością oczekiwał na przyjście ojca.

Około godziny dziewiątej Małgorzata wniosła lampę. Na schodach dały się słyszeć szlapiące kroki czyjeś.

— Ot i pan przyszedł!

Tadeusz rzucił się ku drzwiom.

Wszedł stary Skulski.

— Tadek! Tadek!—zawołał.

Rozpostarł drżące ramiona i tulił syna w objęciach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z H A G I.

Potrzeba podzielenia się wrażeniami, które nas mocno zajęły, jest wrodzoną człowiekowi, pozwólcie też przygodnemu korespondentowi odtworzyć wam widziane obrazy kraju, do którego niewielu podróżników naszych zagląda. Haga jest polityczną stolicą Holandii ponieważ mieszczą się tam centralne władze rządu, a wspaniały zamek jest miejscem niemal przeważnego pobytu młodej królowej i królowej regentki. Niegdyś był tu przecież las, rozległy las stary jak świat, ulubione miejsce polowania hrabiów Holandii, gdzie też zbudowali sobie zameczek w którym by wygodnie przepędzić mogli czas oddany tej męskiej zabawie, a gdy niektórzy z pośród magnatów dworskich wzniesli tam również kilka pałaczków, wytworzyła się z tego osada oryginalna w swoim rodzaju, aż w 1,250 r., hrabia Wilhelm II, zbudował tam zamek wspaniały, mieszczący obecnie komnaty parlamentu, a który otoczyły wkrótce rozmaite budowle, pałace dworzan, wysokich dostojników królestwa i do 1806 r., było tu dyplomatyczne centrum kraju. W czasie nacisku Francji na Niderlandy, władze rządowe, zostały przeniesione do Amsterdamu i dopiero w 1813 r., zwróconem zostało Hadze jej dawne znaczenie pierwszego miasta w kraju, a we dwa lata potem król zamieszkał znowu w jej starożytnym zamku.

Dla upamiętnienia tej wielkiej chwili zbudowano na obszernym placu w samym środku miasta wspaniały pomnik z napisem na czterech stronach jego wieżycy: „Gdy Bóg jest z nami, któż przeciw nam być może?“ Kolumnę, strzelającą wysoko w górę, otaczają posągi trzech wielkich w zasłudze swej mężów, a na froncie, wznosi się posąg króla Wilhelma 1-go, mający po jednej swej stronie posąg, przedstawiający sprawiedliwość, z drugiej uosobienie Holandii w postaci silnej, szlachetnie dumnej i pięknej niewiasty.

Większość miast holenderskich przetrzęta jest kanałami i zbudowana na palach, Haga jedynie stanowi wyjątek ten, że strumienie wody nie płyną wskrosz miasta, a w dzielnicach jej bogatszych oko nie dostrzeże jej nigdzie. Miasto całe jest przecież okolone tak szerokim i głębokim kanałem, że nie potrzebuje już dla bezpieczeństwa swego na wypadek wojny innych fortyfikacji. Ulice i place są w ogóle bardzo piękne i wspaniałe, kamienice przedstawiają się oku jak pałace, a bardzo piękny park, można powiedzieć las starodrzewu, pełen najrzadszych roślin, mieści mnóstwo posągów mitologicznych, oraz zasłużonych Holandii ludzi, a wszędzie czystość największa tak na ulicach, jak w mieszkaniach i w hotelach, gdzie podróżnik może z przyjemnością wszystko jeść co mu podadzą, może się położyć chętnie na łóżku wygodnym i zachęcającym już do tego wyglądem swojej świeżości, a rzecz to bynajmniej nie mała, bo podróżnik potrzebuje dobrze zjeść i wypaść się dobrze, aby miał siły i chęć odpowiednią do rozejrzenia się należytego w koło siebie. Ludzie są tu przecież w ogóle bardzo uczciwi i gościnni, uczynni bardzo; podróżnik nie spotyka się w hotelach z wyzyskiem, a tak na ulicach jak i w miejscach godnych zwiedzania, każdy niemal

stara się to ułatwić przybyszowi a nierzadko ktoś poznawszy iż jestto podróżnik, staje się dlań bezpłatnym ciceronem.

Jest w tem trochę i miłości własnej narodowej, nie grzech to jest przecież samolubstwa, ale pewna duma szlachetna i biorąc wszystko razem Holandya przedstawia się podróżnikowi, jako kraj wyższej cywilizacji i dobrych, podniosłych chęci, w którym życie jest ułatwione przez oświatę i pracowitość—przez powagę umysłu i rozumnie zastanawianie się nad tem, co czynimy. Holendrów nazywają w ogóle flegmatykami, mają oni przecież w sobie dość tego, co jest dostateczną żywością, aby garnąć się do pracy i podnosić się w kulturze. Niczego też więcej nie potrzeba wymagać od człowieka, bo z tem to właśnie wiąże się wszystko, co jest jego skarbem dobrym, co daje mu moralne i materialne bogactwo życia.

Kto zna dzieje sztuki wie, że Holandya wydała wielu mistrzów wyższego w tym zakresie znaczenia i że znajdzie się tu niemało przedmiotów, które wprawdzie mogą w zachwyt. Najwyżej pod względem tych zbiorów szacowaną jest galerja Mauritsius, gdzie znajdzie on oryginały Rembrandta, Pawła Potter, Jana Steen, w ich dziełach najdoskonalszych, równie jak i obrazy mistrzów włoskich, francuzkich, hiszpańskich. Równie też znakomitą kolekcję mieści letnia rezydencya królewska „Huis ten Bosch“ (dom na wodzie) zamek zbudowany w 1647 r., gdzie wzrok spotyka rzadkiej wartości obrazy szkoły holenderskiej w jej najcenniejszych okazach, a obok tego dekoracya komnat starożytnych jest wielce bogatą i oko, zwłaszcza znawcy, niełatwo oderwać się od niej może. Przystęp nie jest tu trudny, lecz wyłącznie do dwóch dni każdego tygodnia ograniczony i tylko dla osób, które posiadają karty wejścia; pałac wznosi się wśród bardzo pięknej miejscowości a przystęp do niego i odwrót, który może się odbywać inną drogą, jest osłonięty wysokimi drzewami, gdy dołem roi się mnóstwo krzewin, kwitnie mnóstwo ziela, a tu i tam przebliskują srebrzyste jeziora, jeziorka, z rzeczonemi na nie mostami pierwotnej prostoty, po których pną się też powoje.

W północnej części miasta wznosi się pałac królowej, gmach ogromny w stylu korynckim z dwoma skrzydłami po bokach; wewnątrz ciągną się długie rzędy komnat, ozdobionych artystycznie pięknymi malowidłami i posągami. W pewnym oddaleniu dźwigają się mury starego bardzo więzienia ze wspomnieniami historycznymi, gdzie niegdyś wtrąconym był Jan de Witte, rozszarpany następnie na kawały przez rozszalałe pospólstwo, które powzięło podejrzenie, iż przyczynił się do śmierci kohebanego przez naród księcia Oranii. Prawdę odkryto wkrótce, ale już po niewczasie; tragedia ta wiąże się we wspomnieniach swoich ze starożytną, wielce piękną świątynią, zbudowaną w 1649 r., i noszącą dotąd mimo wielu wieków daną jej niegdyś nazwę „Nieuwe Kerk“, to jest nowy kościół. Jest to dzieło architektury rzadkiej piękności i sztuki szlachetnej, wprawiające dotąd w zachwyt ludzi, umiających ocenić jego wspaniałe poważny charakter, obok wrażenia lekkości, jaką przedstawiają pnące się w górę wieżycy. Drugim z kolei miejscem, które przybysz zwiedzić koniecznie powinien, jest królewska biblioteka, mieszcząca w odwiecznych swych komnatach 180,000 tomów, a obok tego zbiór starożytnych monet i drogich kamieni w liczbie 40,000. Mieści się tu między innymi kilkaset szczególnie pięknych kamei, a przystęp dla podróżników pragnących oglądać bogate te zbiory, jest zawsze wolny i bez opłaty żadnej.

Kościółów i kaplic rozmaitego wyznania mieści Haga liczbę znaczną, a są między niemi bardzo starożytne i bogate w dzieła pendzla szkoły holenderskiej; muzyka kościelna jest tu bardzo starannie uprawiana, a trzeba dodać, że holendrzy są w ogóle bardzo muzykalni. Latem odbywają się tu co wieczór koncerty w ogrodzie zoologicznym i w innych ogrodach, laskach, gdzie zbierają się na nie setki ludzi; najpierwszorzędniejsze odbywają się w Stadhuis, to jest w ratuszu, w sali ogromnej i wspaniale pięknej, bo gmach to jest, jaki nie często spotyka się w stolicach państw najbogatszych. Wzniesiony w 1565 r., powiększony, w 1734, został w 1885 rozszerzony i odrestaurowany w stylu holenderskiej szkoły architektury z szesnastego wieku.

NOWINY PARYZKIE.

Veules es Caux, 9-go Września.

Do gmachów, uderzających wzrok przybysza, należy też starożytny szpital dla weteranów i rannych żołnierzy, a dodać trzeba, że wszystkie te gmachy publiczne odznaczają się wspaniałą architekturą. Pięknymi są w ogóle gmachy te wszystkie, a zaliczyć tu jeszcze trzeba Dom wdów i sierot z rodzin szlacheckich, instytucję wielce potrzebną w wieku naszym, bo fortuny coraz się rozdrabniają z pokolenia w pokolenie przez działy między członków rodziny. Kobiety klas wszelkich, garną się tu do pracy jak mogą i w rodzinach są niemal ogólnie dobrymi gospodyniami; robotnice trzymają się pewnego tradycyjnego kostiumu, ubiór głowy wieśniaczek odznacza się wdziękiem i wzrok pociąga, rybaczki mają swój znowu, równie oryginalny i ponętny: rozdają zarzutek z białej koronki z długimi, spuszczo-nemi bandami i gdy wyruszają na targowisko, postępując z wózkiem ciągniętym przez dużych, silnych psów na ten użytek hodowanych, przybysz przypatruje im się z zajęciem.

Podróżnik, wyruszywszy po za miasto, cieszy wzrok widokiem zieleni i używa przyjemnego chłodu w czasie najgorętszego nawet lata, bo wszystkie drogi są wysadzone drzewami, a jest to niemal wszędzie starodrzew, bo zwyczaj to odwieczny w tym kraju i oko spotyka się wszędzie z bogatą zielenością, wśród której ukazują się dwory i pałace, otoczone ogrodami. Od najwyższej do najniższej klasy ludzie kochają się tu w ogrodnictwie z zamiłowaniem go takim, że są to między sąsiadami pewnego rodzaju wyścigi, kto tu lepszy gospodarz? Najskromniejsza chata nie jest pozbawiona ogródka, ubóstwa zaś zupełnego, nędzy takiej, jaka się znajduje gdzieindziej, oko tu nie dostrzega ja przynajmniej jej nie dostrzegłem: nie widziałem nigdy na ulicy żebraka, proszącego o wsparcie tak starca jak dziecka, mężczyzny czy kobiety.

Uspობa to dobrze, bo lżej jest piersiom oddychać, używać wrażeń przyjemnych, skoro się wie że nikt w pobliżu nie wyciąga ręki po wsparcie, nie jest zmuszony błagać bliźnich swoich o kawałek chleba. Instytucje dobroczynne Hagi są bardzo bogato uposażone, bo nie ma tu prawie takiego człowieka od bogacza do wyrobnika, który by jakiegoś obola do skarby dobroczynności nie dorzucił; między innymi mieści się tu towarzystwo kobiece pod wezwaniem Świętego Ducha, które czuwa nad ubogimi dziewczętami, zakłada szkoły, nauczające bezpłatnie różnych gałęzi pracy i odwiedzając rodziny niezamożne wyrobników, rzemieślników, rodziny podupadłe z klas społeczeństwa wyższych, niesie tam nietylko pomoc pieniężną, ale daje radę dobrą gdzie jej potrzeba. Iza van Kork, córka zamożnej rodziny szlacheckiej, w dniu pełnoletności swojej ozwała się do rodziców z prośbą, aby to, co jej przeznaczili jako posag gdyby szła za mąż, dali jej teraz i wróciwszy się do wspomnianego Towarzystwa o wskazówki zapytała, jaka gałąź dobroczynnej działalności potrzebuje zapomogi? Po naradzie odbytej przez Towarzystwo odpowiedziano jej, że wychowanie: piecza nad kierunkiem budzących się w dziecku skłonności z jednej strony, z drugiej zbadanie obdarowań nmysłu, aby odbierając wykształcenie odpowiednie umysł ten rozwijał się dzielnie i pełniej?

— Za tem potrzeba jest matek rozumnych: matek, któreby umiały wejrzeć w intelektualną istotę dziecka... powiedziała sobie i założyła tygodnik dla kobiet pod tytułem „Rodzina,” ponieważ według jej rozsądnego przekonania wychowanie może być dobrem wtedy tylko, jeżeli dziecko otrzymuje od otoczenia swego te dobre przykłady życia, które ma się wzorami życia tego stają. Tygodnik ten dobrze, rozumnie prowadzony, wywiera wpływ dobroczynny przez rady i wskazówki, jakie myśli podsuwa i młoda królowa zapisawszy się na listę przeniumeratorek, przesłała następnie jego redaktorce podziękowanie za obywatelską jej tu zasługę.

E. R.

Po seryi nieustannych deszczy, jakie nas nawiedziły, nareszcie upusty niebieskie się zamknęły i cudnie piękna pogoda sprzyja kończącemu się sezonowi po nad morzem, gdzie jak dotąd wre życie bulwarowe, i zaledwie niektórzy rozmyślają o powrocie do domu. Moda nakazuje z miasta uciekać, więc kto chce i nie chce, bez szemrania jej się poddaje, chociaż jest to niezaprzeczoną prawdą, że prawdziwy paryżanin ma wrodzony wstręt do wszelkich wiejskich przyjemności. Pusta rozległość pól i lasów po prostu przeraża mieszczuchów, wiecznie płaczące morze i wieher po nad wodami są dla nich nieznośną torturą.

Kilka dni temu siedząc podczas silnego wiatru nad brzegiem morza, słyszałem następującą rozmowę, dwóch zrozpaczonych paryżan:

— Czy widziałeś podobnie głupią sytuację? Co za wiatr! Niepodobna zapalić papierosa, ani spokojnie pogadać. I to się nazywa „le grand air” niech go licha porwie. Patrz! idą nasze ładne sąsiadeczki z table d'hôte'u, ale czy to nawet podobieństwo pójść z niemi spacerować, kiedy przedewszystkiem trzeba myśleć, aby ci kapelus z wiatrem nie poleciał, a potem musisz jeszcze mieć dobre płuca, aby przekrzyczeć wiatr i szum, które ci uszy wyciem napełniają.

— Już to, ta cała bлага wyjazdu na wieś lub nad morze została z pewnością wynaleziona przez tych co spodziewali się na niej zrobić świetny interes, a największej fabrykanci bilardów mieli tu swoje wyrachowanie, bo gdyby nie ten błogosławiony instrument, pośród tych wszystkich cudów natury możnaby umrzeć z nudów, a z obrzydzenia do życia przyszło by się utopić w morskich falach!

Oto mała próbka, co prawie każdy z przeciętnych gości tutejszych mówi lub myśli, a co nie przeszkadza jednak, że na drugi rok po wyścigowej „Grand-Prix” ci sami cisząc się znów będą hurmem do cieczki z miasta.

Do pewnego stopnia można przyznać słuszność powyżej narzekającym, bo chyba nie ma nie nudniejszego pod słońcem jak przyjemności „Kasynowe”. Ci co utrzymują tego rodzaju zakłady robią pieniądze, nie dawszy w zamian nawet należytej wygody gościom, bo niedłwie czystej wody nie staje dla wielkiej liczby kąpiących się na małej przestrzeni tak zwanej plaży, gdzie pływać trzeba między najrozmaitszemi szczytkami, pośród zbitego tłumu ludzi.

Po odbytej w takim towarzystwie i z takimi dodatkami kąpiel, wychodzi się z niej posolonym i popieprzonym i wyoliwionym jak sałata, ale ten, któremu życie jeszcze miłe, ucieka do przepłaconego hotelowego pokoju, gdzie ze dwie godziny wyplukuje tak przyprawione ciało.

Po takiej morskiej uciece idzie się następnie na obiad lub śniadanie, który zjada się jedynie dla tego, że i drudzy to samo robią—dalej, jeżeli czas spokojny, kwitnie po trochu flirt na spacerze; liche najcenniejszej koncerta, drogie i denerwujące bale, teatru lub zebrania. Oprócz tego mężczyźni i wiele kobiet z wściekłością wlocypedują, z zapamiętałością stawiają grube stawki na żywe lub ołowiane konie, z zaciętością mordują niewinne gołębie, ogłupiają się różnemi jarmarczniemi przyjemnościami, a zakończają dzień (w braku np. balu lub czegoś podobnego), rzucaniem petard w morze lub puszczaniem ogni sztucznych.

Ten mały obrazek jest zaledwie pewną częścią zabijania czasu w Kasynie.

O przyjemnościach wypływających z czystej zdrowej natury, która na każdym kroku przemawia, roztaczając swoje skarby, nikt prawie nie pomyśli, bo ci co ich szukają, wypadkiem chyba dostaną się na dłuższy pobyt w takim miejsu.

Powyższe refleksje przyszły mi, zwiedzając kilka najbliższych od Veules, a licznie uczęszczanych okolicznych plaży. Na szczęście ani w Veules, ani w wielu innych zacisznych miejscowościach nor-

mandzkich wybrzeży, podobnych wrażeń się nie doznaje, przeciwnie panuje tutaj atmosfera, czystej pośród natury swobody, z którą bardzo trudno przychodzi się rozstawać. Pośród monotonnego szumu fal, spokojna kontemplacja, jest balsamem na rozlukane miejskiem życiem nerwy, dla czego jednak tak mało ludzi szuka podobnego ukojenia, to już chyba wina dzisiejszego społeczeństwa, które coraz bardziej odskakując od natury, nie może się obejść bez gwaru i nawyknień miejskich, a z tych najsilniejszym jest codziennie świeży pokarm dziennikarski, pełny niezdrawej, ale dla dzisiejszych organizmów nieodzownej strawy.

Pośród błogiego spokoju i ożywczego powietrza, czytanie książek jest nader miłą rozrywką. Jak zawsze nowości nie brakuje; z kilkunastu z sobą zabranych książek o kilku lepszych dziełach chcę pomówić.

Edmund Goncourt, wydał w tych czasach dalszy ciąg swego sławnego dziennika, gdzie autor przenosi czytelnika w prywatne stosunki „wielkich mistrzów” pióra, jednoczy ich niejednokrotnie razem, i bez żadnej symbolistyki rzuca nam ich żywe słowa, schwyte podczas swobodnej, przyjacielskiej pogawędki, a stokroć więcej malujące człowieka, niż wszelkie o nim domniemane opisy.

Jako próbkę pozwalam sobie przytoczyć wyjątek z dziennika Goncourt'a zatytułowany:

„Obiad u Daudet'a.

„Środa 15 Lipca 1891-go. Dziś był wielki obiad u Daudet'a, na którym byli Zola i Charpentier z żonami i F. Coppée.

Dawniej, wiecznie utyskujący i płaczący, weale ma inną minę dzisiejszy Zola. W całej jego postawie widnieje siła, energia, nieledwie jakaś buta wojownicza, do rozmowy wtrąca co chwila imiona Bourgois'a i Constans'a, z którymi zawiązał bliższą znajomość, jest to ciekawy objaw nowych jego ambicji politycznych.

Wkrótce po przyjściu Zoli nadszedł Coppée przybyły z Combs-la-Ville małej wioski, położonej po drugiej stronie lasu w Sénart, gdzie tego roku w najętym domku spędza lato.

Ogorzała twarz poety, jego jasne a przenikliwe oczy koloru morza, nadają mu fizyognomię starego morskogo wilka.

Siedząc na niewielkim tarasie rozmawialiśmy o złośliwości dla nas młodej krytyki.

Z tej przyczyny, Zola powtórzył kilkakrotnie. „Co nas mogą obchodzić podobne dojadania? Co to dla nas znaczy? Nie! Oświadczył także: „Mam wielką przyjemność, odczytując przy wieczornym ogniu kominka, te drapieżne na mnie napady.”

Z wielką też zaciętością, (mając to sobie widać za obowiązek) bronił dekadentów i symbolistów, dopóki spozstrzegłszy te szlachetne usiłowania nie odezwał się Coppée temi słowy: „Jak to, więc od dziś będziesz się zajmował kolorem każdej samogłoski?”

Podnieceni dysputą z podniesionemi głosami usiedliśmy do stołu.

Tutaj znów podniesiono kwestyą muzyki, i Coppée zapytał Zoli, czy to prawda, jakoby grał na klar-necie. Zola odpowiedział że tak, dodając, że klar-net podług niego odpowiada fizycznej, a flet plato-nicznej miłości i dla tego wybrał pierwszy. Przytem dowiedzieliśmy się, że ma Zola napisać prozą słowa do wielkiej opery, co by dopiero mogło połączyć literaturę z muzyką.

Na co Daudet odpowiedział, że muzyka nie potrzebuje do pomocy żadnej innej sztuki.

W ślad za ojcem młody Daudet oświadczył jeszcze bez względu na teorię Zoli, że muzyka powinna mieć za zadanie upojenie zmysłów za pomocą słuchu, mówił przytem z zapałem o Beethovenie, na co Zola nie odpowiadał, a dopiero w końcu odezwał się żartobliwie płaczącym głosem. „Dla czego psuje mi mój zamiar operowy?”

Chcąc przerwać rozmowę o muzyce, zaczął Zola kreślić zabawne epizody ze swoich wycieczek do różnych członków akademii zwykle nieprzychylnych jego kandydaturze, co już trwało do naszego rozejścia się.

W tym charakterze trzymany jest cały dziennik malujący wiernie obecną epokę i ludzi.

Czytałem także zebrany w osobną książkę „Mon Franc-Parler” Coppée'go, gdzie poeta ukazuje się kolejno zagorzałym patryotą i zacięłym mieszczaninem, wykwintnym arystokratą, i czysto

paryżkim ulicznikiem, gwałtownym reakcyonistą i socjalistą zarazem.

Zebrawszy te wszystkie rysy razem, mamy obraz duchowy, najszlachetniejszego i najlepszego z dzisiejszych poetów we Francji.

La vie simple przez C. Wagnera wykazuje smutny fakt, że ludzkość zanadto oddalwszy się od natury, z każdym dniem staje się nieszczęśliwszą i gorszą. Oschłość serca, egoizm, chciwość, zapoznanie obowiązków, obok nadmiernej chęci używania wszelkich uciech, oto bilans dzisiejszej ludzkości. Człowiek stracił panowanie nad swymi namiętnościami, i stał się niewolnikiem swoich pragnień.

Na taką niebezpieczną chorobę podaję nam p. Wagner, wyczerpującą receptę w swoim dziele, której główną podstawą jest powrót do „prostoty.“ Oto co pisze autor.

„Natura nie w jednej mierze uposażyła ludzi, z których każdy powinien wyciągnąć dobrą część z życia, starając się zostać człowiekiem, a nie podstępny lisem lub drapieżnym ptakiem. Postępując zgodnie z prawdą, sprawiedliwością, i dobrocią spełniamy swoje powołanie na ziemi.“

Są to doskonałe doktryny, które, gdyby zostały w czyn wprowadzone, z pewnością byłoby nam lepiej na świecie. Słowem autor chce, aby ludzkość połała się czystym mlekiem prawdy, karmiła chlebem dobroci, odrzuciwszy wszelkie sofistyczne przyprawy.

Na szczególną uwagę zasługują także rozdziały o dzisiejszych obyczajach i mowie (str. 72), oraz o małych i wielkich obowiązkach (str. 88), a szeroki pogląd i pojęcie o ludzkiej dumie, z której złe bierze początek, mogą służyć za wzór głębokiej przenikliwości psychologicznej.

Ostatnie dzieło Georges Ohnet'a *La dame en gris*, odznacza się tem, że autor zaznaczył w nim nowy zwrot swego talentu.

Powodzenie pierwszych dzieł Ohnet'a, a szczególnie sławnego *Właściciela Kuźnicy*, było oparte po większej części na charakterze antirealistycznym, otóż obecnie ostatnia jego praca, nosi na sobie cechę czysto realistyczną, na nawet brutalnie naturalistyczną. Czy tego rodzaju zwrot będzie szczęśliwym dla autora, który od dziesięciu lat walczy z niechętną dlań tutaj krytyką, niewiadomo! To jednak jest pewnikiem, iż materyalnie autor wychodzi zwycięsko z tej zacieklej bójki, bo wszystkie jego prace dochodzą do bajecznej liczby edycji a chociaż we Francji sława Ohnet'a upadła, za to w całej pełni doznaje powodzenia w południowej Ameryce. Z tego też powodu, jeden z tutejszych dowcipnych krytyków, porównał Ohnet'a do słońca, które schodząc z jednej półkuli, podnosi się w całym blasku po jej drugiej stronie... a może być bardzo, iż okrążywszy ziemię, powróci napowrót do Paryża!...

Na tem kończę dzisiejszą pogadankę, mając nadzieję, że mi łaskawi czytelnicy wybaczą moją wycieczkę po za obręb Paryża, z którego na przyszły raz obiecuję przesłać wszelkiego rodzaju interesujące wiadomości.

C. H.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

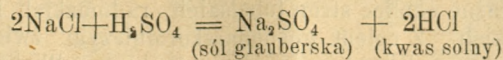
FERMENTACJA,

przez

D-ra Stanisława Kamieńskiego.

Jeżeli dwa ciała chemiczne, w pewnych warunkach, zetkną się z sobą, to jedno zacznie działać na drugie, powstanie między nimi t. z. odczyn, reakcja, rezultatem której będzie otrzymanie dwóch zupełnie różnych ciał, aniżeli wzięte uprzednio. Dajmy na to, że obleliśmy na misce szklanej zwykłą sól kuchenną (połączenie metalu sodu (Na) z chlorem (Cl) = NaCl) kwasem siarczanym (H₂SO₄). Zamiast kwasu siarczanego i soli otrzymamy dwa

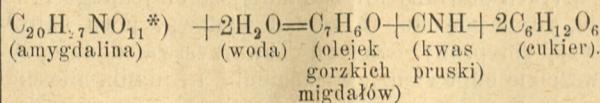
zupełnie inne ciała: 1) t. z. siarczan sodu czyli sól Glauberską i 2) kwas solny (zwany powszechnie jako środek używany przy chorobach żołądka). Ządzie tu następująca reakcja:



Dwa ciała podziały na siebie i powstały dwa nowe; ilość wszakże składowych pierwiastków w nowych ciałach jest zupełnie taką samą jak w uprzednio wziętych: zarówno w soli kuchennej i kwasie siarczanym, jak i w soli glauberskiej i kwasie solnym, znajduje się: 1) sodu 2 części (Na.), 2) chloru 2 części (Cl₂), 3) wodoru 2 części (H₂), 4) siarki 1 część (S), 5) tlenu 4 części (O₄).

Takim jest w ogóle przebieg reakcji chemicznych: ciała działające na siebie zmieniają się całkowicie, lecz składające je pierwiastki nie ulegają zmianie ani co do ilości ani jakości.

Lecz bywają i reakcje innego rodzaju: ciało rozkłada się samo przez się (pozornie), a raczej czynnik, który sprowadza rozkład nie zmienia się przytem bynajmniej. Wiadomą jest rzeczą, że jeżeli gorzkie migdały utłuczemy i nalejemy wodą (woda jak wiadomo jest ciałem chemicznie obojętnym i nie działa rozkładająco na inne ciała), to otrzymamy następującą reakcję:

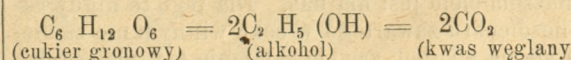


Jeżeli policzymy ilość jednostek C₁H₁N₁O po jednej i drugiej stronie równania to są one sobie zupełnie równe, reakcja więc pod tym względem podobna do pierwszej. Zachodzi jednak jedna pomiędzy nimi różnica: wiemy co pierwszą wywołało; jesteśmy w zupełnej dotychczas niewiadomości co do drugiej, kwas siarczanym jest ciałem bardzo silnie działającym na inne, woda jest ciałem chemicznie obojętnym: wiemy z doświadczenia, że nie zmienia ono chemicznego składu żadnego prawie ciała. W reakcji rozkładu amygdaliny nie działają, i inne wpływy, które sprowadzają lub przyspieszają zwykłe reakcje chemiczne; wysoka ciepłota (jest ona w stanie rozłożyć na składowe pierwiastki nawet tak silny związek chemiczny jak woda), prąd galwaniczny (rozkłada on również wodę), światło (rozkłada ono niektóre mniej trwałe związki np. azotan srebra t. z. lapis) wreszcie mechaniczne wpływy (uderzenie kurka strzelby rozkłada i zapala masę pistonnową).

Te wszystkie wpływy nie działają przy naszej reakcji, musi więc być inny czynnik, który ją wywołuje. Tak jest rzeczywiście: oprócz głównego składnika gorzkich migdałów; amygdaliny znajduje się w nich jeszcze inne ciało t. zw. emulsyna, ona to sprowadza rozkład amygdaliny. Lecz widzieliśmy, że reakcja odbywa się bez udziału tego ciała, emulsyny, że ona nie zamienia swych części składowych z amygdaliną, tak jak kwas siarczanym z solą kuchenną, że jest ona tylko bodźcem, lecz nie współczynnikami reakcji. Ciała takie, które przez swą obecność wywołują rozkład w innych, same nie przyjmując udziału w reakcji nazywają się *fermentami*, a reakcja, rozkład ciał pod wpływem fermentów — *fermentacja*.

Są dwa rodzaje fermentacji: jedne powstające pod wpływem fermentów, podobnych do emulsyny, nie zmieniających się przy reakcji, lecz nie powiększających się w ilości w czasie takowej, fermentów, które muszą być dodane do danego ciała, aby fermentacja się w niem zaczęła. Fermenty tego rodzaju są to ciała chemiczne, nieznaney bliżej budowy, nieożywione związki organiczne (węgla). Tego rodzaju fermentacją jest zamiana amygdaliny na olejek gorzkich migdałów i kwas pruski, zamiana w żołądku białka na peptony pod wpływem fermentu — pepsyny, zamiana krochmalu na cukier pod wpływem fermentu, zawartego w naszej ślinie i t. p. Są i innego rodzaju fermentacje, powstające zupełnie napozór, samodzielnie bez dodania żadnego fermentu. Jeżeli wyciśniemy sok z winogron i po-

stawimy go w otwartym naczyniu, to po pewnym czasie zauważymy, że zaczyna on mętnieć, wydzielają się z niego kulki jakiegoś gazu, a jednocześnie smak jego się zmienia: ze słodkiego staje się on ostrym, szczypiącym; poznamy łatwo, że zamiast soku z winogron otrzymaliśmy wino, którego główną składową częścią jest alkohol czyli spirytus. Powstała więc t. z. fermentacja alkoholowa, podczas której cukier gronowy zawarty w soku winnym rozłożył się na alkohol i kwas węglany (gaz znajdujący w powietrzu, wodzie sodowej i t. d.):



W soku winnych jagód nie ma żadnego fermentu podobnego do emulsyny, któryby mógł wywołać podobną reakcję, cukier gronowy nie jest ciałem łatwo się rozkładającym. Przypuszczano więc początkowo, że rozkład cukru; fermentacja alkoholowa powstaje pod wpływem tlenu powietrza, gdyż fermentacja nie zachodziła, jeżeli udało się utrzymać sok winogronowy zdala od dostępu powietrza. Bliższe jednak zbadanie zjawisk tego rodzaju fermentacji wykazało, że jeżeli rzeczywiście tlen jest dla nich niezbędnym, to ich nie wywołuje. Pasteur mianowicie zbierał sok winny w naczynia zamknięte, do których powietrze resp. tlen jego dostawać się mogło albo przez naczynie napełnione kwasem siarczanym, albo przez rozpalone opiłki żelazne, albo wreszcie przez warstwę waty hygroskopijnej (zwykłej białej aptecznej waty). W tych warunkach pomimo dostępu powietrza i tlenu fermentacja nie powstawała. Skoro tylko jednak powietrze mogło się dostawać swobodnie do soku winnego zjawiała się po pewnym czasie fermentacja.

Musi więc być inna przyczyną fermentacji alkoholowej i w ogóle fermentacji powstających bez fermentów zawartych w samych ciałach fermentujących albo też dodawanych do nich.

Mówiliśmy że sok winny mętnieje; po pewnym czasie mętnienie to zwiększa się; na dnie naczynia osiadać zaczynają drobne ciała roślinne, znane powszechnie każdemu drożdże. Ponieważ drożdży tych pierwiastkowo w soku winnym nie było, dostać się one mogły tylko z powietrza, albo też powstać z ciał organicznych zawartych w soku.

Ostatnie przypuszczenie przez czas długi panowało w nauce. Znanym jest ono pod nazwą teorii samoródtwa, według której z ciał organicznych martwych w pewnych warunkach powstawać mogą ciała żywe, gdyż takimi są drożdże, pewien gatunek grzybków. Pasteur'owi należy się chwała obalenia tej teorii samoródtwa szeregiem genialnych doświadczeń w których dowiódł, iż drożdże i inne drobno-ustroje rozmnażają tylko jedne z drugich, a nie powstają nigdy z ciał martwych, że te ostatnie służą dla nich tylko za pokarm, a nie są w stanie wytworzyć ich. Doświadczenia te Pasteur'a opierały się głównie na tem, że jeśli w jakim płynie zdolnym do fermentacji alkoholowej czy innej nie ma grzybków i nie mogą się one dostać do tegoż płynu z powietrza, to płyny takie nie fermentują i grzybki się w nich nie wytwarzają. Do takiego uchronienia płynów od dostania się do nich grzybków służy jakieśmy widzieli wyżej przepuszczenie do nich powietrza pozbawionego grzybków, ma się rozumieć także niedopuszczenie powietrza (znane w gospodarstwie sposoby lakowania butelek i słoików z konserwami, obwiązywanie ich pęcherzem i t. p.) utrzymanie tych płynów w bardzo wysokiej temperaturze (ten sposób skombinowany z pierwszym jest podstawą przygotowywania konserw), lub też bardzo niskiej (przewożenie w lodzie mleka, mięsa i t. p.), wreszcie dodanie do płynów takich ciał, które zabijają drobne grzybki (w ten sposób przez dodanie octu konserwujemy ogórki, do piwa dodają kwasu salicylowego i t. d.)

Otóż w soku winnym zjawiają się drożdże: ilość ich podczas fermentacji nie tylko się nie zmniejsza, lecz owszem powiększa (jest to ważna cecha różniące fermentację spowodowaną przez żywe grzybki od fermentacji wywołanej przez nieżywy ferment: ilość tego ostatniego od początku do końca reakcji pozostaje niezmienną), gdyż drożdże znalazłszy dla siebie obfity pokarm rozmnażają się bardzo szybko, jak horda dzikim najezdźco co po długiej wędrówce wśród nagich skał natrafiła na żyzną do-

* C—znak chemiczny węgla i N—znak chemiczny azotu.

linę. Rozkład cukru gronowego idzie coraz szybciej, aż do pewnego punktu w którym fermentacja ustaje, grzybki przestają się mnożyć, a nawet po pewnym czasie zaczynają ginąć. Cóż się stało? Oto grzybki przez swą działalność życiową wytworzyły z cukru alkohol i kwas węglany, tak jak my z tlenu powietrza i ciał zawartych we krwi wytwarzamy wodę i kwas węglany, wydechany przez płuca. Ten alkohol, produkt życiowej działalności, przemiany materii w ciele grzybków, jest dla nich trucizną taką samą jak kwas węglany wytwarzany w naszym ciele jest dla nas. Dla tego to nigdy cała ilość cukru zawartego w soku winnym nie zamienia się na alkohol; zwykle zamianie tej ulega tylko połowiczna ilość cukru. Najmocniejsze wina hiszpańskie: Portwein, Madera zawierają około 20% alkoholu.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie piszą, iż opracowanym już został projekt ustawy normalnej, dotyczącej zawiązywania się mniejszych towarzystw ubezpieczeń wzajemnych. „Wiadomości Petersburskie“ donoszą, że ponieważ nie został jeszcze zebrany materiał, potrzebny do ułożenia przepisów, dotyczących nauki małoletnich pracowników fabrycznych, komisja obradująca nad tą kwestyą odroczyła posiedzenie do późnej jesieni.

— Zarząd miasta Moskwy postanowił, aby miasto wzięło udział we wszechrosyjskiej wystawie. Na budowę pawilonu i inne wydatki, łączące się z urządzeniem oddziału moskiewskiego, wyasygnowano 15,000 rs.

— Projekt nowych przepisów, co do otwierania fabryk i zakładów przemysłowych, rozpatrywanym będzie przez Radę państwa na początku kadencji jesiennej.

— Wykłady na uniwersytecie warszawskim zaczęły się z d. 13 bieżącego miesiąca; uczniów zapisało 226. Biblioteka główna, mieszcząca się w gmachu uniwersytetu, została otwartą dla użytku publicznego.

— Wystawa ogrodnicza w Bagateli, urządzona bardzo umiejętnie i wdzięcznie staraniem Towarzystwa ogrodniczego, ściągająca przez cały krótki czas swego trwania liczne zastępy zwiedzających. Hala wystawowa zapełniła się roślinami różnych gatunków, a gdy wspaniałe palmy i tym podobne rośliny egzotyczne wzrok widzów uderzały na wstępie, kwiaty doniczkowe pociągały go również, lecz znajdowała się tu nietylko flora ozdobna. Szereg długich pawilonów, ciągnących się wzdłuż parkanu, mieścił warzywa i owoce w zbiorze liczny. W pawilonie murowanym zgromadzone różne przeroby owocowe: konfitury, marmulady, owoce suszone i różne inne konserwy, oraz wina, a zaraz obok zwiedzający znajdowali różne dzieła ogrodnicze i proszurę: „Pamiętka z wystawy,“ a była to nietylko uczta dla wzroku. Osoby zajmujące się ogrodnictwem, które gdy jest umiejętnie prowadzonym może się stać bardzo ważną gałęzią pracy kobiecej, mogły się tu zapoznać z wielu pożytecznymi roślinami, których uprawa powinna by się wzmacniać tak ze względu na pożytek gospodarczy, jak i na ozdobę, uweselenie mieszkań, a w rodzinie jest to bynajmniej niemało znaczącą rzeczą. Poczucie piękna w sobie rozwinać, to ubogacić życie, a gdy nie każdy ma na to, aby mógł posiadać obrazy, posagi,

każdy może uweselić sobie wzrok wdzięcznym widokiem kwiatów i zieleni.

— Studenci instytutu rolniczego i leśnego odbyli na zakończenie szkolnego roku trzy wycieczki w różne okolice stron lubelskich, radomskich i kieleckich. Z celem gospodarskorolniczym zwiedzono dobra Kluczków p. Kleniewskiego, Bliskowice p. Ciechomskiego, Linów hr. A. Potockiego, dalej Staszów i dobra Stodoły p. Piotrowskiego. Studenci wydziału leśnego udali się w puszcę Białowieską (w powiecie próżańskim w okolicach Grodna). Sprawozdania z tych wycieczek drukowane będą w „Zapiskach Instytutu,“ a zaznaczyć należy, że wyprawa ta spotykana była wszędzie bardzo serdecznie przez obywateli ziemskich, co dopomogło, że wycieczka mogła mieć zakres szerszy, czego było by trudno dokonać przy znacznych jej kosztach. Wydano około 2,000 rs., a dodać należy, że zebrano wśród wycieczki tej wiele przedmiotów, które pomnożyły zbiory gabinetów i muzeum odpowiednich.

— Zarząd Towarzystwa Pszczelniczego, chcąc ułatwić właścicielom pasiek zbyt miodu i wosku, ogłasza, iż nadsyłać oni mogą te produkta do zarządu Towarzystwa (ul. Wiejska Nr. 12) z oznaczeniem ceny najniższej jaką osiągnąć pragną, oraz ilości i gatunku, dodając w jakim opakowaniu nadsyłać go mają. Obok tego próby przy większych partjach powinny nie być mniejsze od jednego funta, a to z powodu, iż zarząd wydawać musi nabywającym próby. Zarząd Towarzystwa dodaje, że wszelkie odpowiedzi, wyjaśnienia i żądania mieścić się będą w czasopiśmie „Zorza“ jako organie Towarzystwa.

— W pracowni zmarłego rzeźbiarza, ś. p. Andrzeja Pruszyńskiego, znajdują się części składowe pomnika ś. p. Kraszewskiego, który z powodu śmierci rzeźbiarza, Jana Kryńskiego, nie został wykonanym, a części jego brązowe znajdowały się zastawione w lombardzie, aż je ktoś poczciwie wykupił i złożył w pracowni Pruszyńskiego. Pomimo kilkukrotnych wezwań, czynionych przez spadkobierców Pruszyńskiego, nikt się nie zgłasza po odbiór.

— Na wystawie Paryskiej w 1,900 r., ma być urządzonym oddział literacki, w którym mieścić się będą cztery kałamarze: Lamartina, Wiktora Hugo, Aleksandra Dumasa (ojca) i Sand. Przy każdym z nich znajduje się poświadczenie jego pochodzenia, skreślone własnoręcznie przez właściciela. Zebrała je niegdyś Wiktoria Hugo, urządzając w Paryżu bazar dobroczynny i żądając za ten zbiór 2,500 franków; nikt przecież nie dał jej tej sumy, nabył go więc Wiktor Hugo i jest obecnie w posiadaniu jego spadkobierców.

— Kolej żelazna do Zakopanego jest już urzędowo postanowiona, koncesya ma być otrzymana w roku bieżącym i hr. Zamojski, zajmujący się szczególnie tą sprawą, blisko go dotyczącą ze względu na posiadane tam dzierżawy, zawarł już umowę z inżynierem Zaleskim, co do wypracowania szczególnych planów traktu, którym iść będzie, oraz budowy. Można też liczyć na pewne, że w jesieni 1897 r., będzie już można wracać z Zakopanego koleją, że przecież górale obecnie gości furmankami wożący nie na tem nie stracą, jest rzeczą dowiedzoną, tylko zarobek inaczej się ułoży. Ponieważ przy ułatwionej komunikacji liczniejsza ilość osób niewątpliwie przybywać tam będzie, dowóz płodów spożywczych i towarów kolonialnych wzmoże się w dwójnasob, więc górale dowozić je będą. A stanie się i to korzyścią, że zarobek taki stale unormowanym zostanie i nie będzie się ograniczał do sezonu gościnnego, więc będą mogli zajmować się troskliwiej pracą gospodarczą, w tym czasie właśnie ręk liczniej potrzebującą; dotąd było to prawie zupełnie zadaniem na kobiety, więc zmiana pod względem gospodarstwa stanie się rzeczą bardzo korzystną, a zarobek regularny, nie przygodnie się trafiający, nietylko będzie większym, ale i nie demoralizującym, bo nie opartym na fantazyjnej hojności przyjezdnych.

— Do oryginalnych wrażeń, jakie spotykać mogą podróżnika w Tatrach, zaliczyć trzeba spotykanie się tam z niedźwiedziami. W końcu ubiegłego miesiąca dwóch turystów zwiedzało w towarzystwie dwóch również przewodników i niosącego tłumaczek tragaża dolinę Białej Wody, do której dążyli z Roztoży na Polski Grzebień. Gdy zasiedli na odpoczynek i rozpalono ogniska ukazały się nagle wychodzące z lasu cztery niedźwiedzie, a choć widok ludzi na chwilę spłoszył je i do powrotu w las skłonił, gdy przecież zaczęto rzucić im chleb i kawałki cukru wróciły, rozłożyły się swobodnie koło ognisk, jadły rzucany im chleb i tarzały się wesoło, a jeden pochwycił nawet szklanekę herbaty, że przecież była gorącą sparzoną szklanekę upuścił, a herbatę z ziemi wylizał. Gdy przecież rozłożyły się na dobre obok podróżnych, musieli je odpędzać, wywijając kijami. Po oddaleniu się podróżnych wróciły na miejsce ich pobytu i zżyły się wesoło czas jakiś.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się powieść **Skaza na honorze** przez M. Betham-Edwards. Przekład z angielskiego, ark. 6-ty.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Co życie dać może. I. Siła myśli, przez M. I.—Pogawędka, przez ??—Dla dziecka. Nowella.—Z Hagi, przez E. R.—Nowiny paryżkie, przez C. H.—Z działu przyrody, przez d-ra Stanisława Kamińskiego.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Skaza na honorze, powieść przez M. Betham-Edwards, przekład z angielskiego ark. 5-ty.—Przegląd mód. 23 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.